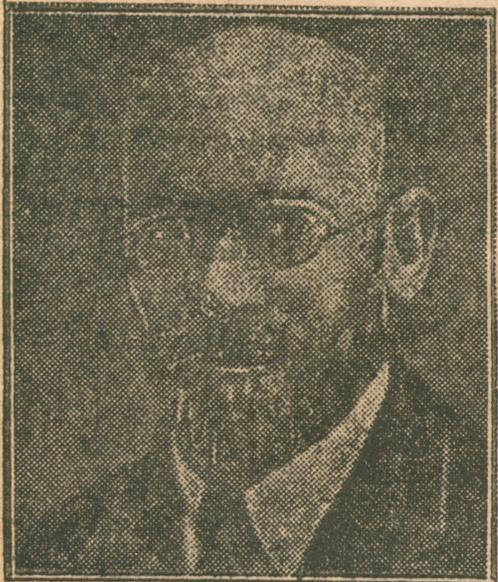


SŁOWO O KORCZAKU

Z Januszem Korczakiem zetknąłem się w pierwszym dziesiątku lat naszego wieku, kiedy nota bene był już autorem głośnej wówczas i śmiałej powieści p. t.: „Dziecko Salonu”. A zetknąłem się z nim w redakcji sławnego „Głosu”, — czasopisma, które w ówczesnej rzeczywistości pod zaborem rosyjskim stanowiło wielkie ognisko kultury, myśli postępowej i krytycznej oraz idei wyzwoleniczych. Prowadząc bezpardonową walkę z



Janusz Korczak

rutyną i kłamstwem konwencjonalnym, z zaśniedziałością pojęć i malarzą psychiczną — „Głos” stał się dźwignią idei nowatorskich, a jednocześnie przybytkiem pisarzy wykle-tych.

Do sztabu współpracowników „Głosu”, należeli między innymi Stanisław Brzozowski, Ludwik Krzywicki, Wacław Nałkowski, Aureli Drogoszewski, Stefania Sempołowska, Stanisław Przybyszewski, Władysław Orkan, Antoni Lange, Jan August Kisielewski, no i właśnie Janusz Korczak. Nieco wyższy niż średniego wzrostu, złotawy blondyn, łysiejący pomimo młodego wieku, żywy i towarzyski — Korczak gęsto strzelał paradoksami, pobudzając do śmiechu. Ale często wprawiał także słuchaczy w zamyślenie jakimś oryginalnym sądem lub niezwykłym spostrzeżeniem. Pogodny, sam śmiał się często, ale zawsze dobrotliwie, śmiechem dziecka, szczerząc przy tym swoje piękne, równe i białe zęby. Zażywał wielkiego miru w „Głosie”, kochany i ceniony przez wszystkich, a już najwięcej przez Jadwigę Szczawińską - Dawidową, która była dużą piśmienniczką. W późniejszych latach mogłem się przekonać, że równie jak przez kolegów po piórze był mocno adorowany w kołach działaczy społecznych, pracowników kultury i w środowisku lekarskim.

Gdyby Korczak przyszedł na świat w jakiejś Arkadii i żył wśród społeczności, wolnej od kajdan, nędzy i strachu niewątpliwie byłby tylko pogodnym ironistą i siewcą dobroliwego humoru. Posiadał nadzwyczajny zmysł podpatrywania słabostek ludzkich i obrazowania ich w kształtach karykaturalnych, celując zwłaszcza w ośmieszaniu próżności filistrów, parweniuszów i snobów, jednak ni-

trwać w postawie biernej i spokojnej. Kipiał wewnątrz i miotał się w buncie przeciw rzeczywistości, opartej na przemocy, na karku skutego i sponiewieranego człowieka. Dlatego już wcześniej wzgardził on salonem, jego pustką duchową i blich-trem, szukając drogi do poznania samego dna padołu, pogrążonego w u-pośledzeniu życiowym lub moralnym.

W szynkach Starego Miasta

Korczak jeszcze jako słuchacz medycyny wiele przebywał w podejrzanych szynkach Starego Miasta, będąc świetnym kompanem tamtejszych opryszków i doliniarzy. Próbował w serdecznym klimacie zażyłości zaszczerpieć im idee innego życia, na ludzkim poziomie. Zwierzeń doktora Korczaka z tego staromiejskiego okresu, pełnych uroku i barw egzotycznych, słuchało się jak bajki o czararowanej krainie. Wspominał te czasy z rozrzewnieniem, ale jeżeli chodzi o wyniki dobrowolnego posłannictwa oraz pierwszych swoich zabiegów pedagogiczno - wychowawczych — to Korczak sam nie mógł nic określonego powiedzieć. Natomiast wiadomo było, że Korczak w tym królestwie szumowin społecznych urósł do rangi bożyszcza, cieszącego się nie tylko uwielbieniem z ich strony, ale także i nadzwyczajną opieką, chroniącą go w szynkach i spelunkach staromiejskich od wszelkiej przykrości lub krzywdy, jaka przypadkiem mogłaby go spotkać z ręki jakiegoś obcego, niewtajemniczonego rzezimieszka.

Bardzo często, niemal codziennie bywałem u Korczaka w latach 1908-1910 na piętorku w szpitaliku dziecięcym przy ulicy Śliskiej, gdzie był stałym lekarzem. Mieliśmy wspólne naówczas sprawy literackie i publicystyczne, związane z „Głosem”, wymagające w tym trudnym okresie triumfującego caryzmu ciągłej czujności i przemyślanych sposobów redagowania pisma. Dziś, z odległości czasu widzę, że Korczak w owych latach był już na progu drogi, która go później zawiodła do sierocińców, aby tam poświęcić się niedoli dzieci, rozjaśnić im życie promieniami swojego umysłu i żarem swego wielkiego serca.

W tym szpitaliku miałem nieraz sposobność przekonać się, jak ten cudowny lekarz potrafił uśmierzać ból rozkrzyczanych berbeciów, ale uśmierzać nie za pomocą środków kojących, czy znieczulających, lecz swym dźwięcznym głosem, dobrotliwym słowem lub bajeczką naprędce zaimprovizowaną. Dziś mam jeszcze w pamięci scenę, dającą miarę cierpliwości i wyobraźni twórczej Korczaka.

Bajka jako lekarstwo

Wzburzona pielęgniarka zameldowała, że wyczerpała już wszystkie sposoby na uspokojenie rozkapryszonej i nieustannie płaczącej kilkuletniej dziewczynki, Zosi, która u-parcie nie chce przyjąć posiłku od-

usiadł na łóżeczku, wziął dziecko za rączkę i zaczął po chwili opowieść treści mniej więcej takiej: pewna dziewczynka nie chciała wypić rosołku, który jej podano w garnuszku. Rosołek się obraził i poszedł sobie na ulicę. Był tak zasmucony zachowaniem Zosi, że nie zważał na ludzi i dorożki i tylko cudem uniknął przejechania. Później wszedł do tramwaju, stanął sobie na pomoście, ale jakiś niezdarny pasażer potrącił go nogą, garnuszek się przewrócił i rozbił, a rosołek wylał się i ściekał, ściekał, ściekał na ulicę, aż żal było patrzeć! Cały Janusz Korczak, późniejszy „Stary Doktor”, mieści się w tym opowiadaniu, a czar jego narracji dał olśniewające wyniki, bo Zosia naprzód objęła i przytuliła do serca garnuszek, a po namyśle wypija całą jego zawartość.

Korczak, jak wiadomo, prócz domowych środków rzadko stosował lekarstwa apteczne, jedynie w wypadkach koniecznych, bo zresztą sam był lekiem najskuteczniejszym.

Ognisko „Głosu” w owych latach zamarło, zdeptane brutalną stopą prześladowców. W lutym 1914 roku boleśnie przeżyliśmy przedwczesną śmierć naszego redaktora i wspólnego mistrza Jana Władysława Dawida, znakomitego uczonego i szermierza wolności. W sierpniu 1914 roku rozdzielił nas wybuch pierwszej wojny światowej. Korczak, zmobilizowany jako lekarz poszedł na front. Po powrocie odszedł od ognisk pracy publicystycznej, poświęcił się niemal bez reszty sprawie dziecka. Pochłonięty zagadnieniami opieki i wychowania w sierocińcach — żył tylko życiem wielkiego oziarnika. Ten okres Jego działalności zarówno społecznej jak i literackiej jest znany powszechnie i oświetlony niemal wyczerpująco. Natomiast czeka wciąż jeszcze na zgłębienie i odsłonięcie źródeł jego olśniewającej twórczości przed mikrofonem Polskiego Radia w roli „Starego Doktora”.

W schyłkowym czasie Składkowszczyzny z Jego wynurzeń najbardziej osobistych wyzierało jakby zażenowanie, czy też wyrzut czyniony sobie, iż trwa jeszcze na uboczu, zdala od wysuniętych szanów nowej walki z nową formą przemocy i niewoli. Przemówił przez niego dawny towarzysz pancerny spod znaku Wacława Nałkowskiego i zapowiedział swój najbliższy udział w piśmie „Epoka”, kontynuującym tradycję dawnego „Głosu”. Ale nim zdołał częściowo przestawić swe życie i podzielić pracę — wybuchła wojna.

Za czasów okupacji

Nie widziałem go przez cały czas oblężenia Warszawy, dopiero po klęsce zaszedłem do Jego mieszkania przy ulicy Złotej, w domu, gdzie przed tym mieściła się redakcja „Wiadomości Literackich”. Zastałem Korczaka mocno zmienionego. Oprócz przyczyn ogólnych, dławiących mózg i duszę złożyło się na to i zmęczenie fizyczne. Okazało się iż Kor-

gdzie w jakimś sierocińcu miał swoją opieką kilkanaścioro którym osobiście zanosił poży i pełnił przy nich służbę.

Później, jak wiadomo, poszły mury getta wbrew namowom rowi przyjaciół, którzy zaprosili go do schronienia, opieki, środków we dowody osobiste. Ktoś powiedział, że Korczak, wiedział, że to daremny, że nie ma siły, która mogła od spełnienia wiązku do końca, nawet gdyby padło wstąpić na drogę, wiedząc, że czeka go śmierć na Golgocie. Odrzuciwszy z krwawym sercem rękę pomocy i bliskich przyjaciół, odrzucił ale z najwyższą wzdargą pomocników, którzy ulegli nieznanym dotychczas potężnym wpływom nęcącym z Anglii (zdaje się Kwa-ty) i wydali zarządzenie, aby Korczak „puścić wolno”.

Kiedyś pod okupacją w Warszawie mi jeden z lekarzy Szpitala Głębokiego, mieszczącego się w graniczu getta, że pewnego dnia wpadł do ambulatorium szpitala jakiś Niemiec, lekarz wojenny, w najwyższym podnieceniu opowiadał, że on „tutejszych ludzi” zupełnie nie rozumie. Władza niemiecka, dając dowód swojej wsłomysłowości, postanowiła ułożyć z getta jakiegoś opiekuna sierot, lekarza z zawodu. Wtedy ten, wyobraźcie sobie, kazał sobie iść precz od siebie, bowierdził łaską oprawców i barbarzyńców. Jak dziś wiadomo, było to i zgodne z prawdą. Janusz Korczak, trzymając dziecko na ręku, powiedział pochód sierot do pociągu i z dumnie podniesionym głosem wszedł do wagonu zatrzasnąwszy własnoręcznie drzwi za sobą.